

Świat według Malczewskiej

gazetka szkolna II LO im. H. Malczewskiej w Zawierciu

Witamy w roku szkolnym 2014/2015.

Oto pierwszy numer gazetki szkolnej w nowej odsłonie. Życzymy przyjemnej lektury, a po niej zachęcamy do jesiennych spacerów, spotkań w miłym gronie znajomych.

Nr 1/2014/2015



Skład redakcji:

Anna Drabek 2E

Aleksandra Heljak 1B

Anna Lewandowska 2A

Aleksandra Picheta 2A

Piotr Rogoń 1B

Mateusz Włodarczyk 2E

Opiekunowie:

mgr Ewa Nosol

mgr Beata Milejska

W tym numerze polecamy:

- 1. Z PIÓRKIEM DOKOŁA ŚWIATA "Czas na herbatkę, czyli o Brytyjczykach słów kilka"**
- 2. "Wierzenia słowian"**
- 3. CO W TRAWIE PISZCZY "Piękno w(okół) nas!"**
- 4. RECENZJE "Dary Anioła"**
- 5. Opowiadanie**
- 6. BIBLIOTEKA SUBKULTUR "O powstawaniu lekarzy"**
- 7. SPORT "Obcy kontra Predator"**

Z PIÓRKIEM DOKOŁA ŚWIATA Anna Drabek

"Czas na herbatkę, czyli o Brytyjczykach słów kilka"

Nietrudno jest złożyć ze strzępków zasłyszanych informacji obraz typowego Brytyjczyka. Cichy, flegmatyczny nudziarz i snob, dostający palpitacji serca, na myśl, że mógłby przegapić godzinę „na herbatkę”, albo towarzyski mecz krykieta. W przypadku Brytyjskiej kobiety, niejeden skrzywiłby się z obrzydzeniem. Według reszty świata, angielskie przedstawicielki płci pięknej, choć o nienaganych manierach, nie grzeszą urodą. Jak jest naprawdę, wiemy jednak wszyscy – stereotypy, choć na pewno ułatwiają nam wyobrażenie sobie przedstawicieli innych krajów, nie do końca oddają to, co do zaoferowania ma rzeczywistość. Przybywając na wyspy, zwyczajny Kowalski spod szóstki może przeżyć niemały szok, gdy okaże się, że jego wyobrażenia o Brytyjczykach całkowicie mijają się z prawdą.

Według przekonań znacznej części świata, mieszkańcy Wielkiej Brytanii nienagannie posługują się ojczystym językiem, a każdy z nich wplata w wypowiedzi równie wysublimowane słownictwo, co królowa Elżbieta. Niestety, prawda jest nieco inna. Jak w każdym kraju, gdzie mieszkają różni ludzie o różnej tendencji do przyswajania wiedzy, zdarzają się i błędy językowe, a na dzień dzisiejszy, to w większości turyści posługują się płynną angielszczyzną. Lecz tego typu sytuacje niezaprzeczalnie pojawiają się w każdym kraju – ktoś w końcu nie spotkał się w Polsce z kimś, kto z uporem maniaka mówi „wziąć”, zamiast „wziąć”, albo „włanczać”, a nie „włączać”? Tymczasem obcokrajowiec bojący się popełnić błąd w strachu przed niezrozumieniem jego intencji, zwraca na to większą uwagę, a zatem zdarzają się sytuacje, że ten posługuje się danym językiem lepiej, niż osoba, dla której jest to język ojczysty.

Ciekawym faktem jest to, że w czasie codziennej rozmowy zawsze pada dość popularne pytanie „How are you?” (jak się masz?) i grzeczność wymaga tego, że chociażby przed chwilą przejechał po tobie walec, a twoja świnka morska wydała w twoich ramionach ostatnie tchnienie, powinieneś odpowiedzieć „fine, thanks” (dobrze, dziękuję). W języku Brytyjczyków pełno jest niedomówień, a same ich wypowiedzi często pozbawione są zbędnych emocji. Zapytany o tornado, które dopiero co zdmuchnęło mu dom zazwyczaj odpowie, że sytuacja „nie jest zbyt miła”. Podobnie w czasie rozmowy o jego wygranej lotto. „W porządku, dziękuję”. Jak dziwne wydaje się to w porównaniu do polskiego entuzjazmu i emocjonalności? Powracając jednak do tematu – ciekawostką jest również to, iż Brytyjczycy mają dość niecodzienne zamiłowanie do kolejek. I nie chodzi o to, że stanie w długim sznurze ludzi po kilka godzin sprawia im jakąkolwiek przyjemność. W większości odczuwają – dość zrozumiałą zresztą – potrzebę uporządkowania społeczeństwa. Podczas gdy w Polsce podczas wchodzenia do autobusu panuje zasada „kto pierwszy, ten lepszy”, w Wielkiej Brytanii takowa sytuacja wygląda znacznie inaczej. Każdy człowiek wie, kiedy zaczekać, kiedy przepuścić kogoś przed sobą, a kiedy samemu wejść do środka pojazdu, do budynku, czy gdziekolwiek poniosą go akurat tego dnia nogi. Kolejki są wszechobecne, lecz razem z nimi panuje przyjemny porządek. Pokusić się można o stwierdzenie, że są w takim samym stopniu perfekcjonistami, co Niemcy, lecz jest to temat nieco obszerniejszy, więc tym razem dyskretnie go pominiemy i zamiast tego... może by coś zjeść?

Fish & chips, czyli ryba z frytkami jest niczym latarnia dla brodzących w morzu stereotypów ludzi. Jak wyznacznik brytyjskości, ikona, którą zna nawet dziecko, pierwsza myśl, jaka przychodzi na myśl po wymienieniu słowa „Anglia”.

Brytyjska kuchnia jednak określana jest jako mdła i pozbawiona charakteru, co wydaje się im wcale nie przeszkadzać w codziennym napychaniu sobie nią żołądka. Chleb tostowy, bekon, „walkersy” (które w każdym innym kraju występują pod nazwą „Lays” – dzisiaj nie wiadomo, dlaczego Anglicy akurat swoje chipsy ziemniaczane chcieli obdarzyć inną nazwą), pudding, sheperd’s pie – to tylko niewielka część dań, lub produktów, które często goszczą w domach wyspiarzy. I choć półki w sklepach uginają się wręcz pod ciężarem książek kucharskich rodowitych autorów, dania angielskie nadal mają pewną naleciałość z tradycyjnej kuchni, znanej na całym świecie. Nie da się jednak odmówić Brytyjczykom, że dziś ich dania nabrały nieco bardziej nowatorskiego i nowoczesnego charakteru. To z Wielkiej Brytanii pochodzi wielu znanych kucharzy, takich jak Nigella Lawson, lub Gordon Ramsey, mający sobie za ojczyznę znaną wszystkim Szkocję.

A co ze sportem? Czy oprócz krykieta, którego zasady są bardziej zawile niż podstawy fizyki jądrowej, Brytyjczycy grywają w coś jeszcze? Odpowiedź brzmi: tak! Ciesząc się niezwykłą popularnością na wyspach i z pewnością bardziej emocjonującym sportem jest piłka nożna. Co ciekawe, to tam powstał pierwszy klub piłkarski, FC Sheffield, a sam ten sport wywodzi się z Wielkiej Brytanii. Wszystkie te informacje są jednak tylko zlepkiem liter na papierze, które nijak nie oddadzą prawdziwego charakteru wysp. Jedyną drogą na poznanie społeczności Brytyjskiej w pełnej okazałości jest spotkanie się z nią twarzą w twarz i przede wszystkim – wyzbycie się zbędnych stereotypów!

"Wierzenia Słowian" Aleksandra Picheta

Religia Słowian to, jak nie trudno się domyślić, zbiór wierzeń, mitów i praktyk, którymi Słowianie zajmowali się przed chrystianizacją Polski. Religia ta jest zaliczana do religii politeistycznych z uwagi na liczne bóstwa. Bardzo ważną rolę odgrywał tutaj kult przyrody, wierzenia w dusze przodków oraz demony. Nie wiele jednak możemy dowiedzieć się o obrzędach Naszych przodków, ponieważ informacje na ten temat w nikłym stopniu zdołały przetrwać do tej pory.

Według Słowian cały świat był podzielony na trzy grupy:

- Jawia to świat, w którym wszystko jest rzeczywiste i namacalne. W krainie tej często mogli (i pojawiali się) mieszkańcy Nawii.
- Nawia to kraina duchów i stworzeń nadprzyrodzonych. Jest to wyrażenie, którym Słowianie określali zaświaty. Za to w tym świecie rzadko pojawiali się mieszkańcy Jawii.
- Prawia to siła sprawcza nadająca ruch i życie światu. Ta kraina zawsze była niewidzialna.

Wierzenia Słowiańskie można podzielić na trzy grupy: zachodnią (Serbołużyczan, Polaków, Czechów, Słowaków), wschodnią (Białorusinów, Rosjan, Ukraińców, Lemków) oraz południową (Bośniaków, Bułgarów, Chorwatów, Czarnogórców, Macedończyków, Serbów, Słoweńców). Można z tego wywnioskować, iż wykształciły się wówczas trzy państwa, ale jest to mylne stwierdzenie. Grupy te różnią się tylko nazewnictwem poszczególnych bożków i demonów.

Świat Słowiańskich wierzeń, to także między innymi obrzędy religijne i święta. Niektóre z nich przetrwały do tej pory, chociaż nie są utożsamiane dawnymi wierzeniami (Sobótka, Dożynki, topienie Marzanny). Dla Słowian święta, jak i ceremonie pogrzebowe były bardzo ważne. Uważali, że śmierć jest przejściem do innego (lepszego) świata. Ciała zmarłych najczęściej palono, a na pogrzebku urządzano liczne zabawy i tańce.

Jak już nam wiadomo, religia Słowian zaliczała się do politeistycznych, a najważniejszy w niej był kult przyrody. Nasi przodkowie każdą z sił natury potrafili utożsamiać z bożkiem:

- Strzybóg - bóg wiatru,
- Chros - bóg księżyca i światła nocnego,
- Weles - bóg magii i klątwy, władca zaświatów, opiekun zmarłych dusz, strzegący Nawii,
- Swaróg - bóg Słońca,
- Perun - bóg piorunów,
- Świętowit (Jarowit) - bóg nieba,

Słowianie czcąc swych bogów, składali im ofiary z płodów ziemnych, zwierząt, a nawet z jeńców. To dla nich wznosili posągi i świątynie. Poświęcali im lasy góry i rzeki. Do najbardziej obleganych przez politeistycznych Słowian, należą:

- świątynia Światowita w Arkonie na Rugii,
- świątynia w Retrze,
- świątynia w Starogrodzie.

Miejsca te są ozdobione posągami i rzeźbami. Były celem pielgrzymek nawet z odległych terenów zamieszkiwanych przez Słowian. Odbywały się w nich wiece i zbierały się oddziały na wyprawy zbrojne.

Mimo to w wierzeniach słowiańskich występują także inne postacie, niż bogowie. Istnieje cała gama stworzeń, które utrudniały, jak i ułatwiały ludziom życie. Do najpopularniejszych demonów należą:

- południce (przypołudnice) - demony przechadzające się po polach w trakcie żniw, napastujące pracujących w południe ludzi, zabijały ich lub okaleczały,
- rusalki - istoty leśne, polne lub wodne, wyobrażano ich, jako młode, piękne dziewczęta, stanowiły zgubę dla młodzieńców i mężczyzn,
- wampiry (wąpierce) - demony, duchy osób zmarłych pastwiące się nad żywymi.

Ludzie bardzo głęboko zakorzenili ich w swojej świadomości. Utrzymywali wiarę w demony przez wiele wieków w opowieściach i legendach ludowych. Potwierdzeniem tego może być obecność nimf lub wilkołaków w opowiadaniach.

CO W TRAWIE PISZCZY? Anna Lewandowska

"Piękno w(okół) nas!"

„Piękno” to pojęcie względne-określamy tym wyrazem urodę otaczającego nas świata, drugiego człowieka, sztukę, którą tworzymy; „pięknym” nazywamy „dobre słowo” skierowane do skrzywdzonego człowieka, wielkie serce, wspaniałomyślny uczynek. Widzimy i doceniamy piękno wokół nas, ale... czy potrafimy je znaleźć w samych sobie?

Człowiek-kim.. czym tak właściwie jest? Rodzajem ssaków naczelnych z rodziny człowiekowatych, istotą rozumną-homo sapiens czy może „obrazem stworzonym na podobieństwo Boga”?

Definicji jest wiele, każdy może znaleźć lub stworzyć swoją własną i utożsamić się z nią, jednak w niewielu będziemy mogli znaleźć ważny fakt-jesteśmy istotami, ssakami, organizmami, które otrzymały wspaniały dar-życie.

Każdy z nas dostał ten prezent, niestety nie wszyscy go doceniamy, szanujemy. Zdarza się, że nie potrafimy nawet z niego skorzystać. Dlaczego? Odpowiedzi najlepiej szukać w miejscu, które jest najbliżej nas-w samych sobie. Wśród natłoku codziennych spraw, znajdziemy chwilę, zatrzymajmy się i zastanówmy czy tak naprawdę mamy świadomość tego, co trzymamy we własnych rękach...

Szesnaście, siedemnaście, w końcu osiemnaście lat. Młodość-czas popełniania rozmaitych błędów, a zarazem uczenia się podejmowania ważnych decyzji. Musimy dokonać wielu wyborów-kim chcemy być, co chcemy robić, jak ma wyglądać nasza „dorosłość”, którą obserwowaliśmy przez tyle lat, patrząc na naszych rodziców, dziadków, wychowawców. To moment, w którym często obiecujemy sobie „moje życie będzie piękne!”... a właściwie czym to piękno będzie? Dużym majątkiem, dobrym samochodem, wielkim domem, wymarzoną pracą? Trzymamy życie-najważniejszy z możliwych do otrzymania darów, w rękach i co dalej? Pojawiają się najróżniejsze dylematy, a tymczasem odpowiedź jest prostsza niż nam się wydaje.

Maciej Balcar, autor tekstu piosenki „Do kołyski” ujął w trzech pierwszych wersach odpowiedź na wszystkie nurtujące nas pytania: „Żyj z całych sił,/ I uśmiechaj się do ludzi,/ Bo nie jesteś sam.”

To właśnie życie jest najpiękniejszym pięknem świata. To dzięki niemu czujemy, komunikujemy się czy rozwijamy. Naszym najważniejszym zadaniem jest wykorzystać je jak najlepiej, do granic możliwości.

Każdy z nas jest inny, mamy różne potrzeby, nasza hierarchia wyznawanych wartości jest zupełnie inna, jednak powinna nas łączyć jedna idea-szacunek do życia-swojego i drugiego człowieka, życia zwierząt oraz natury. Nie bądźmy obojętni na głodne dziecko, którego rodzice ledwo wiążą koniec z końcem. Nie osamotniajmy staruszka, który jest w potrzebie. Nie niszczymy dobra, które dała nam natura. Nie opuszczajmy psa czy kota, tylko dlatego, że potrzebny nam „lepszy model”, by zabłysnąć w tłumie.

Kochajmy, pomagajmy, nie zapominajmy-wtedy docenimy to, co mamy, dostrzeżemy, jaki los był dla nas łaskawy, sprawimy, że nie tylko my, ale również świat będzie miał najpiękniejsze piękno-nas samych.

Oto praca domowa na dzisiejszy jesienny wieczór (i nie tylko)-postaw sobie jeden cel-nie staraj się nikogo dogonić, nie staraj się stawać lepszym od drugiego człowieka, bądź lepszy od tego, kim byłeś wczoraj, pielęgnuj swoje piękno i dołącz się do twórców lepszego świata.

RECENZJA

Aleksandra Heljak

Seria „Dary Anioła” okazała się ogromnym sukcesem, który przyniósł Cassandrze Clare sławę na cały świat. Dlatego też, autorka za namową czytelników chcących poznać genezę i pochodzenie głównej bohaterki, postanowiła napisać sagę sprzed wydarzeń rozgrywających się w „Darach Anioła”. Pierwszą częścią tego uniwersum jest „Mechaniczny Anioł”.

Tym razem akcja przenosi nas do wiktoriańskiego Londynu. Mimo iż schemat miejsca jest często wykorzystywany w powieściach, posiada on wiele elementów, które można użyć w fabule. Surowe obyczaje, rozwój techniki, rozkwit imperium brytyjskiego stanowią cechę charakterystyczną dla opisywanych czasów, które są segmentami pobudzającymi wyobraźnię. Autorce udało się stworzyć wyrazistych bohaterów, do których łatwo się przywiązać.

Stylizację epoki można zauważyć w wypowiedziach oraz zachowaniach postaci. Ponadto wydarzenia mające miejsce w trylogii, rozgrywają się w Instytucie (dobrze znanym z poprzedniej sagi) lub na obszarach związanych z magią i nadnaturalnymi stworzeniami.

Jak sam tytuł cyklu wskazuje, główni przeciwnicy bohaterów to maszyny, co jest nowością, ale i nowym wyzwaniem dla Nocnych Łowców. Oczywiście, nie zabraknie również walki z istotami magicznymi, które będą nie mniej efektowne. Pojawi się także nieodłączny wątek miłosny.

Dwójka pierwszoplanowych protagonistów - Tessa oraz Will - są lustrzanymi odbiciami Clary i Jace'a z Darów Anioła. Ona posiada niezwykle moce, których nie jest świadoma, po czym zostaje wciągnięta w świat Nocnych Łowców, on zaś czarującym buntownikiem z tajemniczą przeszłością. Pomimo odmiennych charakterów oraz licznych kłótni wybuchających między nimi, tworzą fascynujący i dynamiczny związek.

Fani poprzednich książek Cassandry na pewno nie zawiodą się, gdyż mimo że bohaterowie, miejsce oraz czasy uległy zmianie, odnajdą w świecie Diabelskich Maszyn znane elementy. Dzięki nietuzinkowej fabule, ciężko jest się oderwać od tej lektury, dlatego serdecznie Wam ją polecam!



OPOWIADANIE Aleksandra Picheta

Budzik zaczął pikać dokładnie o godzinie szóstej. Na ślepo odszukałam wyłącznik i nacisnęłam go. Chciałabym jeszcze pospać, ale nawet zwierzę martwi się o moją edukację. Ten grubas Kot wskoczył na moje plecy i zaczął targać biedne włosy, czasami zahaczając pazurami o skórę głowy. Nie mogłam mu na to pozwolić, więc podniosłam się, tym samym zrzucając go na kołdrę z głuchym łupnięciem. Parsknął cicho, jednak nie przejęłam się tym. Ja nie lubię jego, a on mnie.

W kuchni zastałam karteczkę z informacją, że dziadkowie pojechali do ośrodka zdrowia, zaklepać sobie kolejkę do lekarza. Pod nią był talerz z górą kanapek.

- Dziękuję babciu - mruknęłam do siebie.

Moi opiekunowie myślą, że jem niewiedomo ile. Cóż, czasami to prawda. Jeśli obiad jest wyjątkowo dobry to pochłonę i dwa talerze. Albo jeżeli zużyję za dużo mocy. To raczej normalne, że muszę uzupełniać energię, prawda?

Jakoś miesiąc temu, dwa lub trzy dni po moich urodzinach, stało się coś dziwnego. Dziadek wyszedł z mojego pokoju po raz kolejny nie zamykając drzwi. Zdenerwowałam się lekko, bo jednak lubię moją prywatność i machnęłam ręką w geście trzaśnięcia nimi, siedząc przy biurku ponad metr od nich. Nie wyobrażacie sobie mojego zdziwienia, gdy te zamknęły się z hukiem. Później dostałam małą reprimendę za to, ale to jest najmniej ważna rzecz. Zaznaczam, iż nie było żadnego przeciągu, a Kot nie mógł tego zrobić. Potem spróbowałam jeszcze raz. Nie wierzyłam, że to stało się naprawdę. Skierowałam palec na papierek po krówce z zamiarem podniesienia go. Nie do końca się to udało, ponieważ tylko się przesunął. Jednak rano już wisiał dziesięć centymetrów nad ziemią, a ja byłam z siebie niezmiernie dumna. I głodna. Mój organizm domagał się energii, którą wydał na taką bzdurną sztuczkę. Babcia, gdyby mogła to podskoczyłaby z radości na widok tego, ile jedzenia zaczęłam pochłaniać przez ostatni miesiąc. W końcu jednak mogę lekko zamknąć drzwi czy przywołać telefon wykonując jeden gest.

Po obfitym śniadaniu prawie zeszedłam na zawał podczas porannej toalety. Kto wymyślił, że na papierze toaletowym powinny zostać umieszczone czerwone truskawki?! Człowiek na spokojnie wszystko sobie robi, a tu nagle myśli, że umiera! No nic. Jak na razie żyję i mam się dobrze. Potem spróbowałam myć zęby i jednocześnie czesać włosy. Niby mam dobrą podzielność uwagi, ale nie jestem jeszcze na tak zaawansowanym poziomie. Skończyło się na tym, że przednie jakoś umyłam, lecz później szczoteczka trochę zesłała do góry i wyczyściłam także zewnętrzną część nosa. Bywa.

Ubiór to najgorsza sprawa, jaka występuje rano. Niby wymyślam sobie wieczorem, co mogę założyć nazajutrz, ale później mi to nie pasuje. Wczoraj stwierdziłam, że szara koszula i zwykle jeansy mogą być. Jednak dzisiaj nie spodobała mi się ta kolorystyka. Wybrałam asymetryczną, kremową koszulkę z orłem na przodzie i ciemne spodenki do połowy ud. Wcisnęłam telefon z podłączonymi słuchawkami do kieszeni, chwyciłam plecak w dłoń, przelotnie spoglądając w swoje odbicie w lustrze.

Na przystanku zazwyczaj pojawiają się, jako pierwsza. Przed tymi wszystkimi uczniakami z innych szkół oraz starszymi babciami narzekającymi na młodzież. Mogę w spokoju usiąść na ławeczce i odciąć się od świata na kolejne trzydzieści minut czekania oraz jazdy.

Język polski był lekcją otwierającą nowy rok szkolny. Młodzież powoli weszła do sali mając na ustach wakacyjne opowieści. Wśród nich byłam i ja. Z ciężkim westchnięciem usiadłam w przedostatniej ławce przy oknie. Wyciągnęłam z plecaka zeszyt wraz z książką i jakiś długopis. Obok mnie usiadła Agata – wysoka blondynka, która była moją współtowarzyszka katuszy na tym przedmiocie przez całą pierwszą klasę. Widocznie to się nie zmieniło.

Na początku był szum, ale wystarczyło, że polonistka przeczytała pierwsze nazwisko z dziennika, a wszystko się uspokoiło. Każdy odwrócił się twarzą do biurka.

– Jestem – odpowiedziałam słysząc swoje nazwisko zamykające listę dziewczyn.

To będzie kolejne dziesięć miesięcy, podczas których będę zmuszona ziewać tak, aby ta kobieta mnie nie zauważyła. Katorga.

– Witam was, droga młodzieży, w nowym roku szkolnym. Większych zmian nie przewiduję, ale ostrzegam już teraz – pogroziła palcem – druga klasa to ten etap, w którym zaczynam pytać. I to nie z kilku ostatnich lekcji, a z całego materiału. Dla jasności: od antyku.

Tak, na pewno zacznie. Myślę, że zapyta kilka osób, a potem da sobie spokój. Czterdzieści pięć minut to jednak za mało na niektóre tematy.

– Radzę dobrze się przygotowywać. A teraz lista lektur...

Zanotowałam kilka punktów. Patrząc na to, staram się nie narzekać. Zawsze mogło być gorzej.

Mimo tego, iż przyszłam do szkoły wyspana, wychodząc z lekcji czułam się, jak po zarwanej nocy. To było to czterdzieści pięć minut, gdy profesor Jelska mówiła po prostu nudno. Kiedy uczyła wkładała w to tyle serca, ile tylko mogła, ale omawianie programu na kolejne dziesięć miesięcy nie bardzo jej wychodziło. To kobieta, można by powiedzieć, przysadzista i ubierająca się, jakby nadal była dzieckiem kwiatem. Jednak dzięki temu sprawiała wrażenie raczej uroczej staruszki, a nie upartego i nierozumiejącego uczniów belfra. Jak pozory mogą mylić!

Kolejną lekcją była matematyka. Myślałam, że chociaż na niej się rozbudzę, robiąc jakieś zadania. A gdzie tam! Tematy organizacyjne są nudne, jak flaki z olejem. Bez zainteresowania wpatrywałam się w mazak leżący przed tablicą. Słyszałam nauczycielkę czytającą wymagania na określoną ocenę.

– Hej, spójrz – szepnęła do mnie Basia, wskazując na widok za oknem.

Niechący machnęłam ręką, a chwilę potem usłyszałam upadek markera, na którym się skoncentrowałam. Na krowie kopytko! Uwaga całej klasy skupiła się na tablicy. Wysocka zamilkła spoglądając za siebie. Czekałam z niecierpliwością na to, co zrobi. Czy ktoś to w ogóle widział? A jeśli tak? Rozejrzałam się dyskretnie, ale nikt na mnie nie patrzył. Odetchnęłam trochę. Profesorka odwróciła się i spokojnie, jak gdyby nigdy nic, podniosła mazak. Wróciła na swoje miejsce, ponownie czytając wymagania na ocenę dostateczną, na którą nikt w klasie nie ma aspiracji.

Pięć minut przed końcem lekcji kazała nam zanotować temat, zadając dwa zadania do zrobienia w domu twierdząc, że są zbyt łatwe, aby marnować na nie czas podczas zajęć. Do dzwonka miałam wrażenie, iż patrzy na mnie dziwnie. Jakby domyślała się, co zrobiłam. Nieźle. Wydaje mi się, że mam przekichane na kolejne kilka miesięcy.

cdn

BIBLIOTEKA SUBKULTUR Mateusz Włodarczyk

"O powstawaniu lekarzy"

Wiek dojrzewania jest takim okresem, w czasie którego młodzi ludzie rozwijają się bardzo intensywnie, zdobywają wiele nowych doświadczeń i przeżyć, kształtują się w nich marzenia, poglądy i fascynacje. Dlatego bardzo często młodzież chce być „w czymś”, chce „gdzieś” należeć, być rozpoznawalna, uzewnętrznić igrające w jej duszach ideały. Młodzi ludzie ujdą dla tych potrzeb odnajdują najczęściej wśród towarzystwa ludzi mających to samo zdanie, podobnie się ubierających, starających się wyznawać te same poglądy na życie, słowem – w subkulturach. Jednocześnie bardzo często ma to związek po prostu z naszymi predyspozycjami i zainteresowaniami, to kieruje nas do różnych szkół, na różne profile, a potem na wymarzone kierunki studiów.

Subkultura. Brzmi trochę odpychająco, nieprawdaż? Nie powinno! Nie taka młodzież straszna jak ją malują! W moim cyklu artykułów chciałbym przybliżyć i opisać ciekawe, popularne, ale i niszowe i nietypowe subkultury i typy młodych ludzi. Poruszę oczywiście jedynie wierzchołek góry lodowej, ale myślę, że zawarte informacje będą zgrabnym zbiorem, jakby małą biblioteczką zagadnienia. Po dość długawym wstępie chciałbym prześledzić, niczym Darwin, drogę ewolucji. Jednak ów gatunek zaczyna na profilu biologiczno-chemicznym, a dąży do wspaniałej formy lekarza.

Skąd biorą się przyszli lekarze? Jest to żmudny i skomplikowany proces pełen ślepych zaułków i brakujących ogniwi. Z czego to wynika? Otóż typowy uczeń profilu biologiczno-chemicznego, zapytany o opisanie się w trzech słowach, odpowiedział: nauka, zmęczenie i promienionózki. Uwierzcie mi, nie wiem, co znaczą ostatnie. Jednak jeżeli zwrócimy uwagę na dwa pierwsze wszystko staje się jasne. Nauka i zmęczenie nieodłącznie idą w parze, tym bardziej jeśli trzeba siedzieć nad układem okresowym albo radosnym rozmnażaniem sosen kilka godzin dziennie. W tym gąszczu wiedzy, na drodze pełnej krwiożerczych definicji i drapieźnych pojęć, nasz przyszły lekarz musi dążyć do samodoskonalenia. Krocząc po szczebelkach od malutkiej komóreczki przez wszystkie królestwa organizmów żywych, bez chwili wytchnienia, zamykając kilka miliardów lat w ciągu czterech semestrów zdarzają się zagubienia i momenty zwątpienia. Myśli samobójcze, chęć rzucenia wszystkiego i wyjechania w Bieszczady są na porządku dziennym. Ale nie poddają się oni tak łatwo! Przyszły lekarz, tak jak ewolucja, nie może pozwolić sobie na odpoczynek i porzucenie swojej drogi. Potrzeba im jednak czasem wsparcia. Wszak są to, bądź co bądź, bardzo mili i przyjaźni ludzie, z chęcią wytłumaczą ci, dlaczego nie powinieneś zostawiać kanapek na czas wakacji w plecaku (może rozwinąć się z nich nowa cywilizacja), dlaczego nie powinno się wlewać wody do kwasu oraz jak przyjemne jest zamykanie zwierzątek w formalinie. Oczywiście, jak każdy, mają swoje wady. Jeśli nie chcesz ich poznać, nie zabieraj im po prostu książki i zeszytu w czasie nauki. Najlepiej w żadnym czasie. W końcu, to ich przepustki na medycynę. W ich obronie gotowi są rozszarpać cię na kawałki, a zapewne poznali już kilka sposobów Matki Natury jak to zrobić. Ale bez nerwów. W końcu cały trud, cały rozwój, nauka, wyrzeczenia, poświęcenia, słowem cała ta ewolucja zmierza, w przeciwieństwie do tej darwinowskiej, w kierunku jasnego i chwalebego celu, mianowicie, aby móc cię kiedyś takiego, rozszarpanego na kawałki chorobą, rozłożonego grypą lub przeziębieniem pozbierać, poskładać i postawić z powrotem na nogi. Doceniajmy wszyscy ich dzisiejszy trud, może kiedyś zwróci nam się to „cudownym” uzdrowieniem?

SPORT Piotr Rogoń

„Obcy kontra Predator”

Rok 2014 to kolejna odsłona futbolowej wojny dwóch takich, co wyemigrowali ze swoich planet, przez przypadek bądź nie trafiając na skalistą planetę gatunku Homo Sapiens nazywaną Ziemią. Śmiertelniku, naprawdę dajesz wiarę, że są oni jednymi z nas?! Legenda głosi, że jeden przyszedł na świat w Ameryce Południowej, w kraju tanga i papieża Franciszka, drugi urodził się w Portugalii - europejskiej perełce żeglarstwa i kolonizacji. Obaj z biegiem lat stawali się panami kolejnych części Wszechświata, rozwijając przy tym w niepojęty sposób swoje umiejętności, bijąc wszelkie rekordy ustanowione przez „zwykłych” kopaczy, łamiąc wszelkie stereotypy dotyczące chociażby słabszego sezonu czy też dzieląc nas, ludzi (okrągłe 7 miliardów istnień), na zwolenników Realu Madryt i FC Barcelony –coraz częściej podział ten jest znakiem rozpoznawczym danej jednostki, źródłem burzliwych sporów pomiędzy fanami obu stron kończącymi się najczęściej „gestem Kozakiewicza”, wysłanym w stronę przegrywających. Podejrzewam, że już niedługo będziemy świadkami płomiennych CV, w których pogrubioną i podkreśloną czcionką potencjalny pracownik zaznaczy, że jest fanem jednej ze stron. Na potęgę będziemy pisać listy motywacyjne o treści: „przyjmij mnie, jeśli jesteś fanem Barcy!”, „wybierz mnie, Real to zarówno moje życie jak i chyba Twoje!”. Rywalizację tych dwóch panów – Messiego i Ronaldo – będzie przenosić się na wszystkie płaszczyzny życia codziennego; z 200 obecnie istniejących państw na świecie pozostaną 2, o zupełnie odmiennych tradycjach, pochodzeniu. Kto będzie nimi rządził jest jasne, tak jak to, w jaki sposób przywódcy będą czczeni: zniknie pojęcie kultury globalnej, zostaną tylko 2 kultury narodowe skupiające się na władcach jak na świętych krowach; aspekty życia społecznego będą odnosić się tylko do nich - począwszy od domu rodzinnego obywatela wypełnionego atrybutami przynależności do jednej ze stron – ściany wytapetowane po brzegi wizerunkami przywódców, meble z logiem klubu, przedmioty codziennego użytku z autografami, drzwi iście królewskie, pokryte barwami oddania bez reszty, okna z witrażami pokazującymi największe sukcesy. Dom wzbogaci się również o nowe pomieszczenie, jakim będzie kapliczka ku czci wysłannika bóstwa – oboje dostaną w swoich państwach status faraonów. Zadajesz sobie pewnie pytanie, skąd ludzie wezmą na to pieniądze? Otóż za wszystko zapłaci państwo, zniknie niesprawiedliwość, ludzie będą pracować bez zamartwiania się o lepsze jutro. Nazwę to dobrowolnie przyjętą dyktaturą, charakteryzującą się bezgraniczną miłością do włodarza (czyżby narodził się nowy ustrój?). Następne, co ulegnie zmianie to styl życia: kino, literatura, gry, medycyna, mass media, polityka – wszystko, również dobrowolnie, zostanie oddane w ręce Cristiano bądź Leo. A może już zaczyna się tak dziać? Czy istnieje realne zagrożenie czymś takim? A może to raj na Ziemi, coś, na co czekamy? Biorąc pod uwagę mentalność współczesnego człowieka, wg mnie bardziej prawdopodobne jest to, że wysadzi on sobie tą swoją Ziemię atomówką aniżeli odda ją pod panowanie niekwestionowane najsłynniejszych ludzi na planecie. No bo z której strony jest to komercyjne? Akcjonariuszom kręci się łza w oku, kiedy mają złe wyniki kwartalne, a nie wtedy, gdy ktoś cierpi z ich powodu. Fajfusy/parweniusze/hipokryci/złodzieje (zaznacz odpowiedź, która wg Ciebie, pasuje do nich najlepiej).

Wielkie przeciąganie gwiazdorskiej liny rozpoczęło się na dobre wraz z Finałem Ligi Mistrzów, rozgrywanym na Stadionie Olimpijskim w Rzymie, kiedy to Messi strzelił gola głową – Barca grała wtedy oczywiście z Manchesterem United, który w razie zwycięstwa, stałby się pierwszym klubem po zmianie formy rozgrywek, zdobywającym ten tytuł 2. raz z rzędu. Lont został podpalony, Ronaldo nie mógł być już spokojny – wcześniej przez jakiś czas żył we względnym ładzie i harmonii, po ostatecznym wykolejeniu się śmiertelnika, który stawił, a właściwie próbował stawić mu czoła – Ronnie, a jaśniej Ronaldinho wysłannik rasy ludzkiej, do wczesnego unicestwienia gwiazdy Crisa, która rozbłysła tak naprawdę dzięki rywalizacji z „Atomową Pchłą” (jedno z określeń Leo). Mimo, że był nienagannym technicznie wirtuozem, że obrońcy mogli jedynie klęknąć przed nim albo rozłożyć się samoczynnie na łopatki, wydać ostatni jęk przed pocałowaniem murawy, to cóż z tego skoro był on „tylko” człowiekiem? Odkąd odszedł z Milanu, kopie sobie piłkę gdzieś tam w Meksyku bodajże i nosi zbędne kilogramy – znak rozpoznawczy kolejnego etapu kariery większości sławnych piłkarzy. Powinni oni iść za głosem Grzegorza Markowskiego i zejść ze sceny „niepokonani”. Nie wiadomo, dlaczego postępują inaczej. Ronaldo bezsprzecznie do nich nie należy. Od pamiętnego finału musiał zmobilizować się jeszcze bardziej niż dotychczas, Leo zachodząc mu za paznokcie paradoksalnym golem, wywołał w nim skrajnie gorzkie emocje. Obrazoburczo zatem Cris wziął się do roboty z jeszcze większą zawziętością i gniewem. Najważniejsze i najlepsze było jednak daleko, daleko przed nim. W lipcu tego samego roku dołączył za najwyższą kwotę w historii do, jak powiedział, „klubu jego marzeń”. Oczywiście zaraz wszyscy zaczęli krzyczeć, że to nieetyczne płacić tak wielkie pieniądze za piłkarza (94 mln euro), że to przekroczenie wszelkich granic, ale patrząc na tą kwotę teraz, po 5-ciu pełnych sezonach w wykonaniu Cristiano wydaje się ona śmiesznie niska. Tym bardziej, że charyzmatyczny Portugalczyk wyrasta na legendę klubu. Jednak początki – jak zawsze zresztą – były trudne: przez pierwszy sezon musiał czyścić buciki Argentyńczyka uznając jego wyższość w obu Gran Derbi. Były to zwycięstwa skromne, zaledwie 1:0 i 2:0. Ale czy tak nisko przegrane mecze bołą inaczej? Tym bardziej, że barceloński kat zdobył wtedy mistrzostwo. Messi gwiazdorzył, Ronaldo rozpaczał. Na tamten czas Manuel Pellegrini (szkoleniowiec Realu) nie umiał zrobić z drużyny gwiazd drużyny gwiazdorsko grającej. Ba! W niejednym meczu chłopcy wyglądali, jakby spotkali się w parku przypadkowo i pierwszy raz grali ze sobą w piłkę! Wydawało się, że 250 mln euro wydane na nowych piłkarzy pójdzie w błoto, Real dostawał baty zarówno w kraju, jak i w Europie. Pereza łapała czasami biała gorączka, ale był cierpliwy. Jego Projekt Galaktyczny numer 2.: Cristiano Ronaldo, Kaka, Karim Benzema, Xabi Alonso, Alvaro Arbeloa dopiero miał się okazać strzałem w dziesiątkę. Największym niewypałem okazał się Kaka, który grał rzadko, a jak już do tego doszło grał co najmniej niepoprawnie – to słowo chyba najlepiej opisuje jego wątły stosunek do gry w piłkę po kontuzji. Z całej piątki był największym rozczarowaniem, teraz dorabia do emerytury w Sao Paulo.